ŻYCIE

Cena 6 d

„Life”
Catholic Weekly

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO SPOŁECZNY

Rok II | Londyn, 7 marca 1948. | Nr. 10/43

Fulton J. SHEEN

PRAWO DO AZYLU

W DZISIEJSZYCH czasach niemal niesposób być panem własnej duszy, tak powszechnie rozszalała się gorączka psychoanalizy. Każdy grzech, każdy upadek, każda zbrodnia lub ukryta namiętność, każde załamanie ujawniane jest głośno światu, który w cudzych błędach skwapliwie szuka usprawiedliwienia własnych win.

Koniecznie dzisiaj potrzeba instytucji podobnej do średniowiecznego prawa azylu. Było ono oparte o nietykalność miejsc świętych. Zbieg, winny zbrodni, był nietykalny z chwilą, gdy schronił się w świątyni. Było zasadą, że przestępca z momentem wejścia do świątyni oddawał się w pieczę Bogu, a tym samym, na pewien czas, pozostawał poza zasięgiem ludzkiej sprawiedliwości.

Światu potrzeba dziś zabezpieczonego od zewnątrz zacisza, w którym człowiek mógłby znaleźć się sam na sam z sobą i z Bogiem — bez obawy publicznego ujawnienia grzechów; potrzeba mu schronienia przed natrętnymi oczyma tych, którzy nie leczą ran, a jedynie rozkoszują się czyimś bólem; potrzeba ustronnej ostoi, dającej opiekę i chroniącej przed tymi, co nalegają na wyznanie słabości, lecz nigdy nie przynoszą ukojenia; potrzeba azylu, którego tajemnica strzegłaby wyznanych grzechów i leczyła z trujących goryczy własnych słabości. — W świecie istnieje taki azyl, broniący nienaruszalności osoby ludzkiej, w którym dusza, bezpieczna od natarczywej ciekawości świata, może ukorzyć się przed przebywającym Bogiem; jest nim Sakrament Pokuty, zwany powszechnie Spowiedzią.

Czego wymaga spowiedź?

Dwóch rzeczy: spowiednika oraz grzesznika i jedynie sam Bóg ich znajduje.

Wymaga spowiednika, czyli kogoś, kto będzie wyrozumiały względem zapierających się Piotrów, przebaczy grzesznym Magdalenom, słowami przyjaźni odezwie się do zdradzających Judaszów; kogoś z wielkim umiłowaniem swej pracy i nieogarnioną miłością grzeszników; kogoś znaczonego krzyżem i znakiem Chrystusa; kogoś z duszą otwartą dla miłości i łaknącą czystości; kogoś z dyskrecją, dalekiego od ciekawości, próżności i gniewu; kogoś z sercem głębokim jak bezdenna studnia, w którą ciska się grzechy jak kamienie, by zapadły tak głęboko, iżby żaden dźwięk czy echo nie dotarły z jej przepaścistej głębi do uszu ciekawskich.

Z miejsca słyszę pytanie: „Dlaczegóż mam wyznawać moje grzechy człowiekowi; wszak kapłan jest człowiekiem; dlaczegoż nie mogę wyznać ich wprost Bogu; dlaczego ma spowiednik stać między mną a Bogiem?”

Czy to jest zbyt wiele, gdy się wymaga ukorzenia przed kimś, kto dzierży moc Boskiej sprawiedliwości i przez baczenia? Czy to jest zbyt wiele, że Bóg posłał swych wysłanników do tych, którzy z Nim zerwali? Wszak często się tak dzieje, że w razie zerwania stosunków dyplomatycznych między dwoma państwami szuka się pośrednictwa strony trzeciej. Czyż nie jest słuszne, że skoro człowiek przez grzech zerwał swe więzy z Bogiem. Bóg ucieka się do pośredników? Dlaczego to, co uważamy za normalne w sprawach ludzkich budzi w nas oburzenie wówczas, gdy dotyczy rządów Boskich? Przecież w wielu dziedzinach życia Bóg zwraca się do nas pośrednio. Źródłem wszelkiej władzy jest Bóg i świeccy władcy czy parlamenty, administrując prawo, w istocie rzeczy działają z Jego ramienia, Bóg dał im nawet władzę pozbawiania życia. Jeżeli więc pewni ludzie wypełniają sprawiedliwość Boga przez władzę karania, dlaczegoż inni nie mieliby udzielać Jego miłosierdzia przez przebaczanie? Leży w naturze rzeczy, by lekarz leczył ciało, nauczyciel uczył, rząd rządził — czemuż więc zaprzeczamy potrzebie spowiedników, lekarzy naszych dusz?

W spowiedzi są dwie strony i w tym wyjawia się najwyższa mądrość Boga. Spowiadający się jest tak samo stworzony przez Boga jak i spowiednik. Doprowadzenie grzesznika do konfesjonału to ugięcie jego pychy i skłonienie go do upokorzenia się przed kimś, kto jest również tylko człowiekiem, może i nie lepszym nawet, ale zarazem i wysłannikiem Chrystusa i jako takiemu trzeba mu odkryć to wszystko, czego nie wyjawiamy przyjaciołom, na wspomnienie czego sami płoniemy wstydem, co staramy się zatrzeć w pamięci; kornie wszystko wyznawszy winniśmy rzec doń „Ojcze, przebacz mi, bo zgrzeszyłem.”

Chociaż trudna, spowiedź odpowiada w istocie potrzebie ludzkiego serca. Ileż to było wypadków w historii, że przestępca dręczony wyrzutami sumienia i pchany jakimś instynktem, silniejszym niż pęd do zachowania życia, wyznawał swą winę, mimo iż milczenie dawało mu bezpieczeństwo i chroniło przed karą. Za cenę uzyskania spokoju sumienia, bez tortur, bez groźby świadków, przyznawał się do zbrodni.

Nawet ci, których nie dręczy zmora wielkiej zbrodni, a jedynie obciąża uczucie, że nie są w porządku wobec Boga, pragną i szukają okazji do zwierzenia się komuś ze swych trosk. W radości i w smutku, każdy szuka kogoś, ktoby na chwilę zechciał podzielić jego kłopoty i przejąć ich ciężar jak swój własny. Najnieszczęśliwszymi śmiertelnikami są ci, których samotnego płaczu nie ma kto ukoić. Iluż ludzi w świecie czuje się opuszczonych, odtrąconych przez wszystkich i szukających jakiegoś zacisza, gdzie mogliby znaleźć pocieszenie i poradę. Miasta nasze pełne są dusz nieustannie wołających „cóż mam czynić?” i dla tych, jak i dla milionów błagających o zrozumienie i przebaczenie kogoś, ktoby jak Chrystus rozumiał i przebaczył łotrowi, konfesjonał jest odpowiedzią.

Jeśliby świat nie znał nigdy Sakramentu Pokuty i ktoś by zaproponował jego ustanowienie, zaraz podniósłby się powszechny krzyk, że ludzie są zbyt hardzi i że dlatego nigdy nie będzie penitentów, że ludzie są zbyt niedyskretni, więc nigdy nie będzie spowiedników. Tymczasem — i tu mówię jako kapłan — świat przychodzi do nas; siedmioletnie dzieci i siedemdziesięcioletni starcy, młodzież i dojrzali wiekiem; fakt, że przychodzi matka z córką, ojciec z synem, jeden przynosząc pragnienia młodości, drugi bóle starości; że przychodzą niewinne dusze, które nigdy nie utraciły łaski chrztu, i wielcy marnotrawcy, którzy odeszli i wracają na nowo do źródła przebaczenia; fakt, że oni wszyscy wyznają to, czego nie usłyszy ucho małżonka, czego nie zna brat, nie podejrzewa przyjaciel, stwierdza, iż są pokutnicy szukający spowiedników, że istnieją spowiednicy, bo znajdują penitentów i że dzieje się to, bowiem Jezus Chrystus jest Bogiem.

Nie ma instytucji w świecie równie skutecznie pracującej nad reformą społeczną, niż Kościół, działający poprzez konfesjonał, w którym oczyszcza intencję stojącą za każdym czynem i poprawia zbiorowość przez duchowe podnoszenie jednostek.

Kościół w konfesjonale, idąc za Boskim Założycielem, opiera się na zasadzie, że jeśli grzechem jest czynić pewne rzeczy, to również grzechem jest myśleć o nich. Kościół nie czeka, aż pragnienie czy zamiar obleką się w czyn; on niejako w głębi sumień i potępia samą intencję grzechu. Mając w pamięci słowa Pana Naszego, uznaje człowieka winnym cudzołóstwa już wtedy, gdy pożądanie kobiety zrodzi się w jego sercu. Wymaga, by nieuczciwy kasjer wyznał, że żywił zamiar popełnienia nadużycia — nawet jeśliby w praktyce nie mógł go wykonać. Wbrew nowoczesnej moralności twierdzi, że zapóźno ustanawiać prawa, skoro przestępstwo zostało już popełnione; zapóźno, gdy trzeba już wzywać policjanta; zapóźno na leczenie, gdy czas na śledztwo. Zbrodnie, pijaństwo, krzywdy społeczne są jedynie widomym wyrazem złych myśli, intencji, pragnień i Kościół nalegając na wyznanie każdego grzesznego zamiaru uderza w ukryte sprężyny i w korzenie występków, a tym samym oczyszczając intencje uzdrawia czyny; godząc człowieka z Bogiem godzi go z bliźnimi.

Kościół poprzez konfesjonał jest dzisiaj jedyną instytucją w świecie, która uzdrawia grupę przez poprawianie jednostek. Współczesna myśl reformatorska zaczyna od grupy, a kończy na jednostce; Kościół w konfesjonale zaczyna od pojedyńczego człowieka, a kończy na zbiorowości. Współczesna moralność zajmuje się zbrodnią jako zagadnieniem na tle społecznym; Kościół zwraca się do przestępcy, który jest indywidualnym problemem. Współczesna moralność mówi o pijaństwie w abstrakcji; Kościół słowami spowiednika mówi konkretnie do pijaka i radzi mu, by, miast przez psychoanalizę dochodzić do sublimacji, wyznał swe winy, celem ich oczyszczenia. Z tych dwóch metod konfesjonał jest jedynie skuteczny, gdyż, tak jak warunkiem szczęścia w rodzinie jest szczęście każdego z jej członków, tak warunkiem szczęścia w społeczeństwie jest pokój wewnętrzny każdego obywatela — a to osiąga się jedynie przez leczenie pojedyńczych sumień.

Nowoczesna moralność zamyka się w wieży i pokrzykuje do buntujących się u dołu żołnierzy. Kościół przez swych wysłanników idzie w tłum żołnierski i indywidualnie wzywa każdego do poddania się prawu, które w ostatecznej relacji jest nakazem Boga. Zwracając się do pojedyńczych sumień, uzdrawiając jednostki, osądzając nie miarą sukcesu w świecie, lecz probierzem, ustanowionym przez Boga, konfesjonał oczyszcza każdy strumień i rzekę wpadającą do oceanu społeczeństw i jeśli dzisiaj ocean ludzki nie jest czysty i jasny to tylko dlatego, że strumienie nie przeszły przez sito odradzającego przebaczenia w wielkim sakramencie miłosierdzia.

Jeżeli więc nasi reformatorzy i rządzący naprawdę szczerze zamierzają uzdrowić społeczeństwa, muszą zacząć od uznania znaczenia intencji i znaczenia jednostki; muszą zrozumieć, że nie możemy zezwalać ludziom myśleć źle, a jednocześnie oczekiwać, że będą postępować właściwie; nie możemy liczyć na moralne uzdrowienie drogą uchwalania ustaw o moralności, jeśli nie poprzedzi ich indywidualna poprawa. Naród nie staje się moralnym przez to, że będzie okłamywany ustami wychowawców, iż grzech nie istnieje, lub uświadamiany o fizjologicznie chorobowych skutkach grzechu. Jest tylko jeden sposób uprzytomniania ludziom faktu grzechu, bez zbytniego zaznaczania jego chorobliwości, a mianowicie przez konfesjonał, gdzie człowiek wyznając, że zgrzeszył zarazem dowiaduje się, że przez przebaczenie i łaskę Boga może dojść do świętości.

Pewna bajka mówi o człowieku zamkniętym w małej skrzynce, który po wypuszczeniu miał serce olbrzyma. Skrzynką jest konfesjonał, a sercem olbrzyma jest serce kapłana, który pociesza słowami Chrystusa „przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę.” I pokutnicy, którzy słyszą te słowa zaczynają rozumieć nieogarniony paradoks Boskiego miłosierdzia — jeślibyśmy nigdy nie zgrzeszyli, nie moglibyśmy zwać Chrystusa *Odkupicielem.*

Przekład: J. J.

JÓZEF ŁOZIŃSKI

* * *

Idę ciągle przed siebie, drogą gdzie myśli się gubią,
Gdzie każdy kamień pod nogą obcym odzywa się głosem
Czasem się wrzos przyśni w drodze, żółto zapachnie łubin,
Gdy w białą mgłę nad Tamizą moją tęsknotę niosę.

A moja tęsknota daleko szerokim sięga zagonem,
Pod dachy których tu nie ma, tak, jakby w nicość zapadły…
Palą się w ulic przecznicach sygnały żółto-czerwone
I nie ma łez… to nie łzy, to mgły na rzęsach osiadły.

Londyn, styczeń 1947.

PO BURZY

Znów biało kwitnąć kazałbym narcyzom
I trawie mocno zielenieć po burzy,
Chmury bym skłębił i cisnął w horyzont,
I słońce znowu rozpławił w kałużach.

Tuż za ogrodem wysokim jaworom
Srebrno zielone wiatr postrącał liście…
Pamiętasz? Zawsze nad szarym ugorem
Tęcza po burzy jaśniała najczyściej.

Jędrzej G I E R T Y C H

ZIEMIE ZACHODNIE

Aspekt gospodarczy

W POPRZEDNIM artykule usiłowaliśmy wykazać, że zasiedlenie Ziem Odzyskanych przez masę osadniczą polską, a nawet, że przesiedlenie do Zachodnich Niemiec ich dotychczasowej ludności niemieckiej to były fakty, na ogół zgodne z naturalną tendencją rozwoju stosunków ludnościowych. Polska była przeludniona i potrzebowała pola pracy i osadnictwa dla nadmiaru swej ludności, zwłaszcza rolniczej. Wschodnie Niemcy były ogarnięte chorobą społeczną ucieczki ze wsi (*Landflucht*) i stopniowo wyludniały się na rzecz miast zachodnio-niemieckich. Bez Ziem Odzyskanych Polska, po zniszczeniach ostatniej wojny, udusiłaby się ludnościowo. Ziemie te, jak dotychczas wchłonęły szóstą część powojennej ludności. Niemcy natomiast pozbawione tych ziem, odczuwają jedynie w stosunkowo nieznacznym stopniu ludnościowe zagęszczenie.

Omówiwszy ludnościową stronę zagadnienia, przechodzimy do jej strony gospodarczej.

Przede wszystkim rodzi się pytanie, kto — Polska czy Niemcy — potrafi nasze odzyskane Ziemie Zachodnie lepiej gospodarczo wyzyskać, a więc lepiej, dla dobra całej ludzkości, ich naturalne zasoby zużytkować.

Nie można mierzyć wartości gospodarczej tych ziem miarą stosunków z roku 1939. Trzeba je mierzyć miarą stosunków, jakie wytworzył na nich rok 1945. Są to ziemie kompletnie zdewastowane. Ich pola — to był w r. 1945 step, porośnięty chwastami. Ich wsie i miasta były popalone i pobużone, fabryki powysadzane w powietrze i pozbawione wywiezionych do Rosji maszyn, ich obory i stajnie pozbawione zjedzonego przez sowieckich „oswobodzicieli" zwierzęcego pogłowia.

Czego te ziemie potrzebowały, by się zagospodarować? Potrzebowały dwóch rzeczy: kapitału i ludzi. Kapitału nie mają dziś ani Niemcy, ani Polska. O ile nie pomogą tu jakieś kredyty zewnętrzne, jakiś plan Marshalla, lub t.p., tylko wieloletni wysiłek, praca, zapobiegliwość i oszczędność, pozwoli zasoby tych ziem — ich budynki i maszyny, ich pogłowie zwierzęce i narzędzia — stopniowo odbudować. Czynnikiem decydującym będzie tu wytrwałość, połączona ze zdolnością do wyrzeczenia się i ze skromnością potrzeb osobistych.

A więc osią sprawy jest — człowiek.

Czy Niemcy mają dosyć ludzi, by ziemie te po zniszczeniach 1945 roku z powrotem zagospodarować? — Niemcy nie mieli nawet przed wojną dosyć ludzi, by te ziemie uprawić. Wypełniali braki setkami tysięcy polskich robotników sezonowych. Dzisiaj potrzeba tam o wiele więcej pracy, niż przed wojną. Trzeba odbudować zniszczenia. Wysiłek maszyn i tego wszystkiego, co daje kapitał, zastąpiony musi przez prymitywną i twardą pracę ludzkich rąk. Zasobnego farmera, przyzwyczajonego do pewnego komfortu zastąpić tam dziś musi nieraz wytrwały i niezbyt wymagający osadnik, mieszkający w ziemiance, obchodzący się bez maszyn, narzędzi i zwierząt, pracujący od świtu do nocy. A ludzi Niemcom ubyło. Jest dziś w Niemczech nadmiar ludności, ale jest zdecydowany niedobór mężczyzn, w sile wieku, bo nieproporcjonalnie wielu zginęło na wojnie. Niemcy są dziś społecznością o nieproporcjonalnie wysokim odsetku starców, kobiet i dzieci; nie jest to społeczność zdolna do zagospodarowania kraju rolniczego, tak zdewastowanego, jak nasze Ziemie Odzyskane. Każdy, kto choć trochę zna stosunki w dawnych wschodnich Niemczech, zgodzi się bez trudu ze zdaniem, że gdyby ziemie te znalazły się dziś w rękach niemieckich, to odbudowa ich produkcji rolniczej nie wyglądała by lepiej niż teraz, ale dużo gorzej. To samo dotyczy stosunków w przemyśle rolniczym. A inne gałęzie przemysłu mają tam znaczenie nie wielkie.

A jakież jest znaczenie produkcji tych ziem dla Niemiec i Polski.

Wciąż się dziś na zachodzie Europy powtarza, że ziemie te były śpichlerzem Niemiec. Trudno o większe nieporozumienie. W twierdzeniu tym tkwi utajone niedomówienie.

Owszem, to prawda, że „Wschód" był śpichlerzem Niemiec. Był przed rokiem 1914 i był w czasie obu wojen światowych. Ale ten „Wschód" — to nie są nasze dzisiejsze Ziemie Odzyskane. Istotnym śpichlerzem dawnej Rzeszy było Poznańskie. Ale przecież nikt dziś o tym nie myśli, by „zwracać" Niemcom Poznańskie, zasadniczą kolebkę polskiego państwa i narodu. — A w czasie obu wojen produkcja żywnościowa, czerpana przez Niemcy z Poznańskiego pomnożona była jeszcze o pszenicę lubelską, sandomierską, wołyńską, podolską, ba! ukraińską, oraz o wszystkie inne płody rolnicze ziem polskich.

Ale nasze Ziemie Odzyskane odgrywały w wyżywieniu Rzeszy rolę drugorzędną. Ziemie te, (których najurodzajniejszą częścią był Śląsk Dolny) produkowały stosunkowo mało pszenicy. Były to ziemie żytno-ziemniaczane, a pod względem produkcji żyta i ziemniaków niemiecki zachód był prawie samowystarczalny. Rolnictwo dzisiejszych Ziem Odzyskanych pracowało głównie na zaspokojenie potrzeb miejscowych, to znaczy na zaopatrzenie w żywność okręgu przemysłowego śląskiego i miejscowych miast. Produkowało ponadto dość duże nadwyżki żyta i ziemniaków, dla których jednak bynajmniej rynkiem zbytu nie były Niemcy zachodnie.

Niedawno *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* przypomniał liczby, (poprzednio ogłaszane częściowo także przez *Manchester Guardian*), z których wynika, że w okresie powersalskim z całej wschodnio niemieckiej pszenicy, która stanowiła około 25% zbiorów ogólnoniemieckich, tylko 3,3% docierało do reszty Rzeszy; a więc jeśli idzie o pszenicę, „wschód" niemiecki, obejmujący także nasze Ziemie Zachodnie, nigdy nie był śpichlerzem Rzeszy. Ale, rzecz ciekawa, nie inaczej było także i z żytem. „Wschód" produkował 41% całej niemieckiej produkcji żyta, ale z tego, co wyprodukował, tylko 10,7% szło na zachód. Z produkcji zaś ziemniaczanej „wschód" odsyłał na zachód tylko 4,5%.

Można by na to wszystko odpowiedzieć, że w związku z ogólnym zbiednieniem, zachód niemiecki byłby dzisiaj skłonny konsumować mniej pszenicy, a za to stać się rynkiem zbytu dla części nadwyżek żyta i ziemniaków naszych Ziem Odzyskanych. — To jest prawda. I napewno tak w przyszłości będzie: Niemcy mogą z tych nadwyżek korzystać również i wówczas, gdy Ziemie Zachodnie należą do Polski, to znaczy, zamiast importować amerykańską czy naddunajską pszenicę, mogą importować polskie żyto i ziemniaki. Ale nie jest prawdą, że jakieś nierozerwalne węzły gospodarcze zostały przecięte.

To samo, w jeszcze większym stopniu, dotyczy przemysłu. Przemysł Ziem Odzyskanych zorientowany był na wschód, to znaczy ku Polsce, Niemcy tracąc ten przemysł, tracą konkurenta dla reszty swojego przemysłu, a bynajmniej nie tracą czegoś, co by stanowiło organiczną część ich własnego życia gospodarczego.

Natomiast Polska, otrzymując Ziemie Zachodnie, uzyskała olbrzymie korzyści gospodarcze. Po pierwsze otrzymała zagłębie przemysłowe górnośląskie i dolnośląskie, które dla jej gospodarki narodowej, stanowią nabytek niezwykle cenny. Po wtóre, otrzymała szereg portów z portem szczecińskim na czele, co usuwa nienormalność jej struktury gospodarczej, jako kraju, mającego jeden tylko wąski wylot na morze. Po trzecie, uzyskała bardzo dla niej cenną drogę wodną Odry. Po czwarte wreszcie w obszarach rolniczych uzyskała bardzo pożyteczne ujście dla nadmiaru swej ludności chłopskiej.

JĘDRZEJ GIERTYCH

Diabeł dzisiaj

DIABEŁ nie paraduje już po świecie z rogami i kopytem, dzisiaj jest on raczej uprzejmym i wytwornym panem o miłej powierzchowności; umie z ożywieniem i inteligentnie gwarzyć i nosi garnitury najnowszego kroju. Ale przede wszystkim jest on postępowy, pisze roztropne książki i jest błyskotliwym mówcą, który szczególnie lubi mówić o wolnej indywidualności człowieka i o nienaruszalności jego praw.

Rzecz jasna, że największym absurdem jest — jego zdaniem — twierdzenie, jakoby diabeł istniał, a jego argumenty są tak przenikliwe i przekonywujące, że zarówno człowiek wykształcony jak i zupełny laik wprost wstydzą się kiedykolwiek przed innymi nawet wspomnieć o diable.

Ulubionymi „konikami" diabła są prasa i film. Sam pisuje artykuły świetnym wprost stylem, tworzy porywające reportaże i wyczarowuje krytyki filmowe, jako że w filmie widzi w ogóle szczyt ludzkiego postępu i największe bogactwo rozwoju wolności moralnej. Ale jeszcze chętniej niż w redakcjach i pracowniach filmowych przebywa on na uniwersytetach, gdzie się umie poruszać z powagą i spokojem dyskretnego przyjaciela ludzi, no i w przybytkach wysokiej polityki. Proszę sobie wyobrazić, że profesor uniwersytetu całkiem poważnie wygłosiłby przed oświeconym audytorium wykład o istnieniu diabła! Odpowiedzią byłby głośny śmiech. A wysoka polityka? Tutaj diabeł prześciga sam siebie blaskiem własnej wymowy i logiki.

Bo w ogóle logika stanowi jego mocny punkt. Przy jej pomocy potrafi on spokojne narody pędzić do wojny, aż do zupełnego wzajemnego poćwiartkowania się, zapomocą niej umie unicestwić prawo na świecie i zbrodnie wynosić do godności narodowego bohaterstwa.

Jest nawet tak zuchwały, że w wielkich słowach naśladuje samego Boga i, jak powiedział pewien amerykański profesor w radiowej „Godzinie katolickiej": „Buduje on przeciw — kościół, który jest małpowaniem Kościoła, ponieważ diabeł małpuje Pana Boga. Będzie się więc powoływał na religię, aby ją zniszczyć. Będzie nawet mówił o Chrystusie i twierdził, że był On „największym człowiekiem, jego zaś misją ma być uwolnienie człowieka z więzów zabobonu."

Jakkolwiek jego dialektyka jest tak niebezpieczna i tak zagmatwana, jako autentyczna dialektyka piekieł, to jednak można go po jednym znamieniu rozpoznać: oto nie ma on s e r c a i chociaż wiele o ludzkim sercu mówi, to matka, czy dziecko, czy też kto kolwiek o czujnym sercu zdemaskują go. Diabeł zna tylko siebie samego i w godzinie decydującej rozstrzygnie tylko na własną korzyść, choćby miał stąpać po milionach trupów.

On skryty za setką masek i przybierający setki postaci tutaj już odrzuci maskę. A dla tych, co mu uwie-

DOKOŃCZENIE NA STRONIE 3

Z przyczyn od Redakcji niezależnych niniejszy numer ŻYCIA ukazuje się w objętości zmniejszonej do 4 stron, za co bardzo Sz. Czytelników przepraszamy.

Magdalena Z A Ł U S K A

3)

ŚWIĘTA JOHANNA D'ARC

NA Francję wierną królowi padła żałoba. Lud, który nie od dziś uważał Johannę za świętą, słał do nieba najżarliwsze modły o wyzwolenie „wybawicielki." Przynaglano króla, by ofiarował za nią Anglikom okup sławetny. Ale Anglicy nie skorzy byli do układów, zbyt dawno czyhali na „wiedźmę."

A i król nie kwapił się zbytnio, podjudzany przez dworaków, którym dawno solą w oku była rycerska dziewczyna, zawstydzająca raz po raz czynem skutecznym ich własną małoduszność. W godzinę męki wszyscy ją opuścili, począwszy od tych, którzy zawdzięczali jej najwięcej. „Nie jest uczeń nad mistrza": pomiędzy męką Chrystusa i męką Johanny istnieją przejmujące analogie; kiedyś teologowie porównywać będą te drogi krzyżowe, wedle praw najwierniejszego Naśladowania.

Johanna jest nie tylko patronką żołnierzy. Jest również patronką jeńców. Podczas długich miesięcy sprawdzi do dna, czym jest „życie za drutami," czy za murami katorgi. Jej również marzyła się ucieczka. Śmiałym skokiem z wieży Beaurevoir próbowała zbiec. Lecz czujni siepacze podjęli wpółmartwą. Bóg przeznaczał jej inne rekordy. Dla bezpieczeństwa zakuto ją w kajdany, rzęsiście skropione wodą święconą, „wedle czarów."

Tymczasem między księciem burgundzkim i Anglikami toczyły się układy o wydanie „wiedźmy." Anglicy nie szczędzili pieniędzy i w końcu wytargowali łup pożądany za okrągłą sumę dziesięciu tysięcy funtów. Drożej zaceniono Johannę niż ongiś Chrystusa, lecz były to te same pieniądze judaszowe, pieniądze krwi. Około Bożego Narodzenia 1430 roku, wysłano brankę pod ścisłym konwojem do Rouen, gdzie miała stanąć przed sądem kościelnym, złożonym z samych popleczników Anglii pod przewodnictwem osławionego biskupa Beauvais, Mgr. Cauchon.

W obliczu dostojnego trybunału, złożonego zrazu z 43, później aż z 62 członków legistów i inkwizytorów, Johanna staje sama jedna, bez adwokata, bez pomocy, zdana wyłącznie na własne siły... czy tylko własne? Toż nie opuszcza jej ani na chwilę „niebieska rada" podsuwając jej na perfidne pytania odpowiedzi cięte jak miecz, jasne jak słońce. Protokół spisany niepobłażającą ręką wrogów przekazał nam w całej rozciągłości ten proces wiarołomny. I niewiadomo, co bardziej podziwiać należy: nadludzką niemal bystrość Johanny przenikającej w mgnieniu oka pułapki teologów, czy też jej cudowną prostotę sięgającą zawsze i wszędzie samego sedna rzeczy. Z tych kart pożółkłych bije jakiś niewysłowiony czar dziewczęcy: jakże mu nie uległ zasuszony aeropag? Widzimy Johannę, smukłą i jasną, w odzyskanym stroju pazia, z grzywką na czole i włosami krótko przyciętymi przed zgromadzeniem prześwietnym, raz po raz w kozi róg zapędza nym jej słowem nieuczonym. Najtęższy adwokat nie doradziłby jej lepiej! — Zaiste, było w tej dziewczynie coś z gołębia i coś z węża ewangelicznego. To też z dnia na dzień coraz bardziej wychodziła na jaw zła wola sprzedajnego sądu, który nie po to zasiadł by sądzić, lecz po to, by potępić. Nie od dziś „interes państwowy" każe deptać prawo...

Kazano jej najpierw przysiąc „na świętą Ewangelię," że wyzna całą prawdę. Johanna pamięta, że stoi przed sądem kościelnym. „W sprawach wiary tak, w sprawach innych, w których zaprzysięgłam milczenie, nie. Czyż byście nakłaniali mnie do krzywoprzysięstwa?"

Kazano jej przyrzec, że nie będzie próbowała ucieczki.

— Tego wam nie przyrzeknę. Nie zdałam się na parol nikomu i gdybym uciekła, nikt mi nie wypomni, że złamałam obietnicę. Wolność każdemu więźniowi rwać się do wolności...

Gdy biskup obstaje przy swoim Johanna przecina przesłuchanie wy, niosłym:

— Passez oultre; to do rzeczy nie należy i szkoda próżnych słów.

Szczwany jurysta próbuje ją podejść świętą teologią i pyta czyli jest w stanie łaski? Potrzask to nie ladajaki na nieuczoną dziewczynę, gdyż jak wiadomo z teologii, żaden prawy chrześcijanin za zbawienie swoje ręczyć nie może.

— Jeślim nie jest, niech Bóg mi ją przywróci. Jeśli jestem, niech Bóg mnie w niej zachowa.

O święta Inkwizycjo, nie tobie to sekunduje Rada Anielska!

Oczywiście sławetni sędziowie badają podsądną nader sumiennie na temat owych „głosów." Czy nawiedzają ją i dziś w okowach.

— Tak, i każą mi odpowiadać wam śmiele.

Zdarzenia - fakty - uwagi

MAŁOPOJĘTNE POLKI

ZARZĄD Miejski w Warszawie obłożył kobiety studiujące specjalnym podatkiem mieszkaniowym oraz uznał, że w ogóle „kobiety nie zasługują na stypendia, gdyż ich studia są bezcelowe.'' Co więcej nawet dziennik „Rzeczpospolita'' (organ p. Minca), w styczniu b.r., napisał: — nasz naród nie życzy sobie kobiet z wyższym wykształceniem i z odrazą patrzy na studentki, które za kilka lat zaczną swą hałaśliwą działalność na rozmaitych terenach.

Skąd ta niechęć „postępowych'' kół do studiujących kobiet? Przecież tak niedawno komuniści „wyzwalali'' kobietę z przesądów burżuazyjnych i dopuszczali ją do wszystkich możliwych dziedzin dotychczas zarezerwowanych wyłącznie dla mężczyzn — jak n.p. wojsko?

Tajemnica w tym, że — zdaniem władz warszawskich — Polki są tak mało pojętne, jeśli chodzi o zagadnienia ogólne i społeczne i tak mało się tymi sprawami interesują!

Chodzi po prostu o to, że kobiety polskie są bardziej niż mężczyźni konserwatywne, nie przypadają im więc do gustu rozmaite zdobycze demokracji ludowej... Za karę więc nie będą studiowały, jeżeli nie mają dość pieniędzy, aby opłacić nowe podatki.

Niech żyje demokracja kierowana!

„ROZRYWANIE''

ZNANY francuski pisarz Georges Bernanos w swym artykule p.t. „Największe łajdactwo historii'' omawiając obecne położenie ludzkości, powiada:

„Cywilizacja, albo też to, co się tak nazywa, a co jest już tylko okaleczałymi wartościami ludzkimi, wyrwanymi ze swych miejsc, przyciętymi na miarę pozbawionej ducha ludzkości, — ta cywilizacja wynalazła szczególnie przewrotną formę zbiorowego prądu, który się nazywa nacjonalizmem. Polega on na wyzyskiwaniu przesadnego patriotyzmu; od samego początku nacjonalizm nie posiada żadnego religijnego waloru.''

To, co pozostało po cywilizacji, Bernanos nazywa „kolosalnym przedsiębiorstwem, którego celem jest, za wszelką cenę, dawanie ludzkości rozrywek w postaci wynalazków mechanicznych.''

„Obecnie — pisze autor „Pod słońcem szatana'' — to „rozrywanie'' zmierza do tego, aby swą maszynerię wciąż ulepszać, aż wyschnie w człowieku źródło życia wewnętrznego, które czyni zeń istotę religijną.''

Lekarstwo na tę chorobę samo nadchodzi, a mianowicie są nim objawy budzącej się rewolucji przeciw materializmowi. Musi ona przyjść, bo niszczenie i ciągłe „rozrywanie'' człowieka nie ma z goła historycznego sensu. I tu pisarz wierzy, że właśnie jego kraj, Francja, będzie „głową i sercem odnowionej ludzkości.''

NOWY RASIZM

JAKBY kładąc pieczęć na sprawie „rosyjskich żon,'' t.j. 15 Rosjanek, które w czasie wojny wyszły za mąż za żołnierzy angielskich, a których Sowiety nie chcą wypuścić z kraju, mimo wszystkich możliwych próśb i nacisków, wyszło niedawno rozporządzenie zakazujące obywatelom sowieckim małżeństwa z obywatelami innych państw. Zakaz ten wydało prezydium Najwyższego Sowietu.

Warto przypomnieć pod jakimi to hasłami szła rewolucja komunistyczna w swych początkach. Mówiło się wtedy o niszczeniu klas panujących, o wolności dla pracujących i o tym, że wpływ państwa będzie się z czasem stawał zbyteczny. Pierwsza konstytucja sowiecka prawie że nie uznawała pojęcia obywatelstwa, dopuszczając cudzoziemców do najwyższych w kraju godności. Obywatel sowiecki mógł sobie swobodnie wybierać kraj zamieszkania i żenić się z kim chciał, bez względu na narodowość.

Ale to nie trwało długo. Biurokracja państwowa zaczęła coraz głębiej sięgać w życie obywateli i interesować się jego ściśle prywatnymi sprawami. Wtedy to zaczęto zamykać granice państwa i ograniczać swobodę wyboru cudzoziemców, jako małżonków. Konstytucja została, ale „bieg urzędowy'' wnoszonych podań mógł zniechęcić najcierpliwszych.

Gdy przed ostatnią wojną przyjechało do Rosji wielu specjalistów z zagranicy i wielu z nich pożeniło się z Rosjankami, kobietom tym władze usilnie tłumaczyły ich patriotyczne obowiązki. Ostatnia sprawa 15 żon Anglików była jakby ukoronowaniem całej tej sprawy. Po niej przyszedł zakaz.

Jest on szczytem wszechmocy państwa. Jest to unikat wśród praw istniejących na świecie. Państwo odcina od innych ludzi swych obywateli jako coś odrębnego, jakby jakąś specjalną rasę. Słowo „wolność'' nabiera w ustach tych ludzi jakiegoś niepojętego dla wszystkich innych znaczenia. Swoiste uczczenie „marksistowskie'' stulecia „Manifestu'' Marksa. Lecz Marks pono z oburzeniem odcinał się od... Marksistów.

BURŻUAZYJNA MUZYKA

TYM razem trzej wybitni muzycy rosyjscy: Dymitr Szostakowicz, Aram Kaczaturian i Sergiej Prokofiew otrzymali od Centralnego Biura Partii Komunistycznej ostrą naganę za to, że ich muzyka jest „zła i burżujska,'' a oni „przez swe modne kompozycje oddalili się od ideału zaleconej przez Partię muzyki ludowej.''

Aląowiem w r. 1946 zostały wydane oficjalne instrukcje Biura Centralnego w tej właśnie delikatnej materii. To też dziś z oburzeniem Biuro stwierdza, że kompozytorzy ci nie korzystają z warunków, jakie mają w kraju dla tworzenia kwitnącej kultury muzycznej, mającej tak piękne tradycje rosyjskiej i zachodniej klasycznej muzyki. Ponadto zrobiono muzykom zarzut, że ostatnio żaden z nich nie napisał jeszcze żadnej opery, która by wytrzymała porównanie z głośnymi operami Czajkowskiego i Rimskij-Korsakowa. Do zarzutów dodano jeszcze ujemny wpływ na wyszkolenie młodzieży studiującej muzykę w konserwatoriach i na moskiewskiej akademii muzycznej.

Jak narazie kompozytorów jeszcze nie ukarano ani nawet nie powzięto żadnych innych kroków, ale wyrażono nadzieję, że muzycy... się poprawią.

Czekajmy, jakie będą muzyczne wyniki tej reprymendy!

TYLKO DLA TUBYLCÓW

JEDNYM z najbardziej zagadkowych objawów w powojennych Niemczech jest niechęć Niemców zachodnich do uciekinierów, wysiedlonych ze wschodu. Pomijając już wszelkie kierowane akcje polityczne, które mają na celu utrzymanie sprawy straconych przez Niemcy ziem na powierzchni aktualności i zainteresowania oraz wśród tak zwanych „zagadnień piekących.'' niechęć ta jest zupełnie odruchowa i prawie powszechna. Łatwiej się dogada Niemiec zachodni z obcym DP'sem a nawet z okupacyjnym żołnierzem lub urzędnikiem, niż z rodakiem spoza Odry czy Nissy.

Walczy z tymi uprzedzeniami prasa, walczą koła katolickie, ale z małym rezultatem. Niedawno w wiosce niemieckiej Jersbeck miejscowa straż pożarna urządziła zabawę taneczną, na którą zaproszono wszystkich bez różnicy mieszkańców. Ale w ostatniej chwili uznano, że zaproszenie „Flüchtlingów'' było „grubym przeoczeniem'' i napisano czarno na białym, że „wysiedleńcy nie są pożądani na strażackim balu.''

Wysiedleńcy nie pozostali bez odpowiedzi i skierowali do straży pożarnej zapytanie, czy mogą liczyć na ratowanie swego dobytku w razie gdyby się u nich paliło, czy też jest to zarezerwowane tylko dla tubylców?

NIELUDZKI REŻIM NIEWOLNIKÓW

Przez prasę szwajcarską obiega ogłoszony w dwóch pismach nowojorskich list do opinii publicznej, pióra polskiego Żyda, dr Juliusza Margolina, który został aresztowany przez władze sowieckie w r. 1940 i skazany na 5 lat przymusowych robót w jednym z obozów koncentracyjnych w głębi Rosji.

Margolin przed swym aresztowaniem obserwował objawy rozwiązań społecznych Zw. Sowieckiego z dużą dozą sympatii, uważając nawet, że Europejczyk mógłby się tu dużo nauczyć, zwłaszcza jeżeli chodzi o problem zagadnień narodowościowych i stanowiska kobiety w nowoczesnym społeczeństwie. Kiedy jednak Margolin doświadczył na własnej skórze bolszewickiego terroru, w duszy jego nastąpiły zasadnicze przemiany. Pisze on w szczególności:

„Kto nie zna sowieckich więzień, nie wie, co to jest Rosja Sowiecka. Nienawidzę jej ze wszystkich moich sił i całą energią mojej myśli. To, co tam zobaczyłem, napełniło mnie grozą i wstrętem na całe życie. Zwalczanie tego terrorystycznego, nieludzkiego reżimu niewolnictwa jest pierwszym obowiązkiem każdego uczciwego człowieka. Aby przedstawić piekło sowieckie, trzeba by zdolności Dantego i Dostojewskiego, połączonych z głębią dickensowskiego realizmu. Poczuwam się do obowiązku powiedzieć całą prawdę, o której tylu ludzi nie odważa się lub nie chce mówić.

Prawdziwa Rosja żyje za drutem kolczastym i składa się z tysięcy obozów koncentracyjnych, w których zamknięto miliony ludzi na 10, 15 lub 20 lat życia. Po upływie tego terminu nieszczęśliwi, jeżeli jeszcze żyją, zostają przymusowo osiedleni, jako koloniści-deportowani w najsłabiej zaludnionych okręgach. W ten sposób najodleglejsze pustkowia są kolonizowane milionami niewolników. W całym kraju nie ma kąta, gdzie by nie było tych obozów, otoczonych potężnymi zasiekami, z czteroma charakterystycznymi wieżami strażniczymi po rogach. Nie da się ustalić, ilu ludzi w nich zamknięto. Osiedleńcy podawali mi liczby fantastyczne. Przyjmuję, że w niektórych latach ilość ich osiągnęła 10 do 15 milionów. Podczas wojny znaczna część wymarła, a obozy zostały obecnie wypełnione milionami nowych ofiar. Prasa sowiecka przechodzi nad tym do porządku dziennego. Dziennikarze zagraniczni, którzy znaleźli drogę nawet do hitlerowskich obozów koncentracyjnych, tu nie dotarli jeszcze nigdy. Nie można opisać grozy i ponurej tajemniczości, jaką otoczone są te miejsca kaźni. 50.000 Polaków, deportowanych do osławionego obozu między Bałtykiem a Morzem Białym, roztopiło się bez śladu w półmilionowej masie innych wysiedleńców.

Ustrój, który nie waha się trzymać w stanie niewolnictwa milionów swoich obywateli, a cały naród przesiewać nieustannie przez sito politycznej policji, bez sądu, bez miłosierdzia — taki ustrój jest zjawiskiem strasznym i niesłychanym w naszej epoce. Tych wszystkich, którzy wiadomości o nim zbywają wzruszeniem ramion, albo nic nie mówiącymi słowami, uważam za współwinnych.'' (*ms*)

rzyli przyjdzie koniec, którym będzie śmierć i zniszczenie.

Czyśmy już kiedy diabła spotkali? Czy też go jeszcze nie spotkaliśmy? Bądźmy jednak bez obawy, gdyż wiemy, po czym go można poznać: ma on wprawdzie sto oblicz, ale nie ma nigdy serca. Bóg zaś jest m i ł o ś c i ą.

(„*Kirchenbote*'') L.

Trybunał się martwi. Toż oskarżono Johannę jako heretyczkę a ta prostaczka żadną miarą nie daje zbić się z tropu, na wszystko ma odpowiedź! Nie przychodzi im do głowy, że ta bystrość sądu i przytomność umysłu aż nadto dowodnie świadczą o niewinności Johanny...

W perfidnych pytaniach trybunału przebija zabobonny strach o własną skórę. Czyżby istotnie król Karol miał odzyskać Francję?

— Nim siedem lat upłynie, odpowiada Johanna, Anglicy wielkich strat doznają i Bóg ześle Francuzom zwycięstwo. Widzę to tak jasno, jak was, przed którymi stoję.

— Kiedy to się stanie?

— Tego wam nie powiem. Ale wiedzcie, że mój król odzyska swe królestwo i precz wyżenie Anglików. Umarłabym, gdyby to objawienie nie krzepiło mnie co dzień...

Wypadki miały dać słowom Johanny wspaniałe potwierdzenie. Przedziwnym zrządzeniem Opatrzności śmierć jej stała się punktem zwrotnym w polityce ospałego króla, początkiem nieustannych, angielskich klęsk. Krwawą ceną opłacona rekonkwista.

Skrupulatnych sędziów niepokoi inny „casus sumienia.'' Czyż Johanna nie wzniecała krwi przelewu?

— Toż byłaś, kiedy Anglików zabijano.

— Przebóg! Jacyście delikatni! A czemu oni nie odeszli precz, do własnego kraju?

Na te słowa jeden z obecnych Anglików klasnął w dłonie i zawołał:

— To ci zacna dziewczyna! Jaka szkoda, że nie jest Angielką!

Proces stanowczo nie dawał pożądanego rezultatu. Trybunał prześwietny czuł, że się ośmiesza. Postanowił tedy zawiesić publiczne przesłuchania, które widocznie sprzyjały podsądnej. Odtąd Johanna będzie przesłuchiwana w więzieniu, w okowach, przez biegłych kazuistów, którzy nieraz aż dwa razy na dzień będą ją badać i brać na spytki. Toż oskarżono ją jako heretyczkę i jako taką przeznaczono na stos! Może przecież wpadnie w potrzask i wyzna coś karygodnego. Johanna odpowiada na dal prosto, jasno i z fantazją.

— Im bardziej będziecie mnie przynaglać, tym mniej wam powiem.

O sędziowie przedajni, jakżeście dalecy od ducha Ewangelii! Jednym z argumentów wytaczanych przeciw Johannie jest fakt, że została pojmana i że nie przyszła jej w sukurs Anielska Odsiecz.

(„Jeśliś jest Synem Bożym, zstąp z krzyża... inszych ratował, samego siebie uratować nie może... dufał w Bogu, niechżeż go teraz wybawi...'').

— Myślę, odpowiada Johanna, że skoro tak spodobało się mojemu Panu, to lepiej było dla mnie, żem została pojmana.

Gdy zaś natrętni sędziowie dopytują się ponownie, co też mówią jej w okowach Głosy Niebieskie, — Johanna odpowiada z rozbrajającą prostotą:

— Mówią ci mi one, że zostanę wyzwolona wielkim zwycięstwem. Najczęściej tak mi mówią: cokolwiek cię spotka, bierz sercem ochotnym i nie dbaj o własne męczeństwo. Na koniec pójdziesz do raju.

Johanna nie pojmuje jeszcze w całej pełni sensu tych słów:

— Jest ci to chyba męczeństwo, boć cierpię w więzieniu wiele udręk i przeciwności i nie wiem, czyli doznam jeszcze większych. Aleć we wszystkim zdaję się na swojego Pana.

„Ojcze, nie moja wola, ale twoja niech się stanie.'' Johanna stąpa wiernie śladem Mistrza. Godzi się na wszystko z góry, podpisuje weksel in blanco. Z każdym dniem coraz groźniej zarysowuje się na horyzoncie złowrogi cień stosu.

Znaleziono wreszcie przeciw niej argument rzeczowy, pułapkę inkwizycyjną. Toż stawiając czoła prześwietnemu trybunałowi, z biskupem na czele, odmawiając mu niektórych wyznań (n.p. politycznej natury) Johanna buntuje się przeciw Kościołowi, więc jest heretyczką.

Próżno dziewczyna przecina te sidła najprostszą odpowiedzią:

— Jać zdaję się na Chrystusa. Czyż Chrystus i Kościół to nie jedno? Przecz robicie trudności?

Lecz cały sęk w tym, że sławetny Cauchon wraz ze swoją kliką utożsamia się z Kościołem! Zdrowy instynkt ostrzega Johannę przed tym spiskiem perfidnych teologów. Lecz ona jest tylko podsądną, w kajdanach, i prawdą ich nie przegada! Na każdą jej odpowiedź, oczywistą jak samo słońce, wytaczają kolubryny swej mętnej elokwencji, chwytają ją za słowa, podchodzą, badają zdradzieckimi chwytami. Jak pytanie, czy święci z jej Rady Niebieskiej nienawidzą Anglików... Johanna rzuca odpowiedź, którejby się nie powstydził święty Tomasz z Akwinu:

— Oni miłują, co Bóg miłuje, a nienawidzą, czego Bóg nienawidzi. O miłości Bożej dla Anglików nie wiem nic. Aliści wiem, że mój Pan precz wyżenie ich z Francji, okrom tych, co tu głowę położą, i że ześle zwycięstwo Francuzom przeciw Anglikom...

Domyślamy się, jak nie w smak trybunałowi były takie słowa.

(CIĄG DALSZY NASTĄPI)

„Historia naturalna nonsensu"

Morderca złudzeń

AMERYKAŃSKI pisarz, Bergen Evans, wydał nieubłaganą walkę najrozmaitszym zakorzenionym przesądom i opartym na nich powiedzonkom, które uparcie utrzymują się wśród ludzi. Przez „czarowny lasek złudzeń" przeszedł „uzbrojony w ostrą siekierę naukowego badania" i tak radykalnie lasek przetrzebił, że zostały w nim już tylko — raczej skromne — okazy logiki i praktyczności.

Książka jego nosi tytuł „*Naturalna historia nonsensu.*" Jest tam wszystko od spraw dotyczących wszechświat, aż do zupełnych drobiazgów, a najwięcej o sprawach, które w ogóle nie istnieją

N. p. znana niechęć każdego byka na polu, w lesie czy na arenie do czerwonej płachty jest według Evansa zupełnym nonsensem, bo byki w ogóle nie rozróżniają żadnych kolorów. Tak stwierdziły powagi naukowe. Byki ulegają irytacji, gdy się im czymś powiewa przed nosem i to bez względu na barwę płachty.

Człowiek w ogóle otoczył zwierzęta sentymentalną poezją i opowiada o nich niestworzone historie. A więc pszczoła bynajmniej nie ginie po ukłuciu kogoś żądłem, a wąż nie tańczy pod dźwięki muzyki. Okularnik nie ma słuchu, a ruchy wykonuje w takt poruszeń swego pogromcy, grającego przy tym na flecie. Innym fałszem jest przekonanie o bajecznej pamięci słonia, który rzekomo pamięta wszelkie dobre i złe usługi mu wyrządzone. Lecz słoń — stwierdza Evans — zjada siano, bez obciążania swej pamięci.

A jak jest z ową wzruszającą tkliwością macierzyńską samic ptasich, które tygodniami siedzą na jajkach? — Nowe badania specjalistów ornitologów wykazały, że zamiast uczucia rodzinnego, mamy do czynienia po prostu ze swędzeniem skóry, które powoduje wyrzut skórny, pojawiający się u samic ptasich w okresie lęgowym. Doskonałym środkiem nań jest chłodzenie skóry przez stykanie jej z chłodniejszą powierzchnią jajek. Szczury nie mają zwyczaju opuszczania tonącego okrętu, ani też wilki nie zawsze i wyłącznie chodzą stadami.

A teraz inne dziedziny. I tak piorun, owszem, uderza w to samo miejsce więcej razy i nawet ma swe miejsca ulubione, bo w N. Jorku istnieje dom, w który w ciągu 10 lat piorun uderzył 68 razy. Historia o włosach, które osiwiały w ciągu jednej nocy wskutek strachu lub cierpienia nie posiada ani naukowego, ani wziętego z doświadczenia potwierdzenia. Herbata nie jest bynajmniej mniej niebezpieczna niż kawa, a alkohol nie jest pewnym środkiem na jad węży.

Podobnie i na innych terenach: Biały utrzymuje, że czarno-skórzy są mniej od niego warci pod względem duchowym, bo mają mniejszy mózg. A tymczasem zapomina, że Japończycy, Eskimosi i Polinezyjczycy mają mózg większy od białych, ale z tego już wniosków żaden biały nie wyciąga. Człowiek pierwotny, żyjący na tle natury „musi" być tryskający zdrowiem i swymi olśniewająco białymi zębami śmieje się w nos wszystkim niebezpieczeństwom prapuszczy, w której mieszka.

A tymczasem? — Badania wykazały, że ludzie prymitywni w Azji i Afryce cierpią na dokuczliwe choroby zębów, że grasują wśród nich nagminnie malaria i gruźlica, i to w stopniu znacznie groźniejszym niż wśród ludów cywilizowanych. Mogli się o tym, w czasie wojny na Dalekim Wschodzie, naocznie przekonać biali żołnierze. Również twierdzenie, jakoby silne owłosienie ciała miało być oznaką pierwotności jest fałszywe, bo właśnie ludzie biali są najsilniej owłosieni, a niektóre szczepy pierwotne zupełnie nie. I tak dalej i tak dalej.

Evans jest nieubłagany, a jego dowody nieodparte. I dlatego nie warto z nimi walczyć, nie ufać lub też jak struś tchórzliwie chować przed nimi głowę w piasek. Zwłaszcza, że Evans też udowodnił, iż żaden struś, jako żywo, głowy w piasek nigdy nie chował, nie chowa i pewnie nigdy nie będzie chował.

A no trudno! Niektórym pisarzom i mówcom ubyły z bukietu kwiatków stylistycznych i porównań najpiękniejsze okazy. Pozostało im tylko jedno wyjście: muszą być oryginalni. Tak oryginalni, jak historyk nonsensu Bergen Evans.

K.

„Dziennik" „przegląda' czasopisma emigracyjne...

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" w numerze 46, *z dnia* 23.2.48, *w „Przeglądzie czasopism emigracyjnych" pisze w związku z cyklem artykułów Jędrzeja Giertycha, zamieszczanych w ŻYCIU:*

„Gdyby serio brać takie wypowiedzi, w sprawie naszych granic... jak... „Życia," moglibyśmy dojść do wniosku, że pozostaliśmy na emigracji po to, aby rozdzielać nasze ziemie i rezygnować na lewo i prawo z naszego terytorium narodowo-państwowego."

— Gdyby serio traktować „Dziennik" i takie wypowiedzi, musielibyśmy dojść do wniosku, że pozostaliśmy na emigracji po to, aby pozwolić się teroryzować metodami niższymi jeszcze, niż te, które są stosowane przez prasę totalną. Za żelazną kurtyną obowiązująca formą wpływania na opinię jest m. in. denuncjacja. To, co zrobił „Dziennik" jest, jeśli możliwe jest takie stopniowanie—niższe jeszcze: posłużył się bowiem całkowitym fałszem.

Albowiem celem cyklu artykułów J. Giertycha, pisanych dla katolików jest wykazanie, między innymi, że najsilniejszymi argumentami za przyłączeniem ziem zachodnich do Polski są właśnie argumenty etyczne, *a więc te, w imię których chcianoby nam na Zachodzie odmówić prawa do tych Ziem.*

„Dziennik" zaprzecza pismu katolickiemu prawa do zastanowienia się po katolicku nad tak ważnym dla naszego narodu zagadnieniem. I denuncjuje ŻYCIE przed polską opinią, wmawiając jej, że pismo nasze chce ziemie te odstępować Niemcom... Szczególna zaiste moralność dziennikarska. Zwłaszcza w zestawieniu z rolą „obrońcy katolicyzmu," w którą się „Dziennik" przyobleka, pojmując tę „obronę" jako jeszcze jeden odcinek wygodnej, papierowej walki z reżimem.

„Dziennik" zestawia ŻYCIE m. in. z „Tygodnikiem Polskim," organem ambasady reżimowej w Londynie. Nie odwzajemnimy się „Dziennikowi" tym samym, nie chcąc krzywdzić... „Tygodnika Polskiego," który również i w tej sprawie wykazał całkowitą przyzwoitość.

Listy do Redakcji

P. Słonimski, komuniści w U.S.A i w Polsce

Szanowny Panie Redaktorze!

O Słonimskim, którego i przed wojną nikt nie traktował zbyt ważnie i poważnie, obecnie głucho całkowicie, i tu i w kraju. Przerywając to milczenie powszechne, mam wrażenie, jak bym w przyzwoitym towarzystwie wyrwał się nagle z czymś „nie bardzo." Przeczytałem jednak przypadkowo w tygodniku ambasady reżimowej felieton p. Słonimskiego zawierający jego uwagi o USA. Ubolewając nad tym nieszczęsnym krajem, który się — jak powiada „zepsuł"; który zamienia się na dom niewoli; w którym „polityka trumanowska niszczy instytucje wolnościowe i swobody," p. Słonimski widzi początek tej niewoli — zalewającej USA w „szczuciu komunistów."

Nikt wprawdzie, kto zna p. Słonimskiego nie uważa, aby należał mu się kiedykolwiek szczególny szacunek za, n.p. cnotę traktowania serio i z godnością samego siebie. Jednak była powszechnie znana jego ogromna miłość własna i zarozumiałość. I otóż one to powinny go bronić od tego, by nie poruszał spraw, ośmieszających go do reszty, nawet w oczach ludzi, którym usiłuje służyć jak może. A do tych spraw należy m. in. sprawa komunistów, których nagle broni w USA, gdy w „Wiadomościach Polskich", n.p. w r. 1941 przechwalał się, iż w *Polsce zwalczał* ich wpływy. I ta miłość własna powinna spowodować, by przymiotnik „załgany," którym lubi się posługiwać, raczej wykreślił ze swego nowego słownictwa.

Łączę wyrazy poważania
Jerzy Walewski

Londyn, 18.2.1948 r.

Psst... bo reżym usłyszy!

Szanowny Panie Redaktorze!

„Dziennik Polski", z dn. 23 lutego, w przeglądzie czasopism emigracyjnych „oskarża" ŻYCIE o „parantelę sojuszniczo-ideową" z pismem reżimu warszawskiego, ponieważ „Życie" ośmieliło się, w moim artykule, skrytykować wywody p. Stefana Mękarskiego, na tematy kulturalne, zamieszczone w tymże dzienniku.

Trzeba przyznać, że redakcji „Dziennika Polskiego" nie brak jest tupetu. Argumentacja jego bowiem wygląda mniej więcej tak:

Skoro pismo reżimowe atakuje „Dziennik Polski," wobec tego dla krytyki emigracyjnej ma on pozostać nietykalny. Skoro „Tygodnik Polski," organ ambasady warszawskiej, wyśmiał artykuł p. Mękarskiego o teatrze w Kraju (moim zdaniem całkowicie słusznie, gdyż był to artykuł kompromitujący i łatwy do wykpienia), wobec tego „Dziennik Polski" uważa, że już nikomu na emigracji nie wolno krytykować artykułów p. Mękarskiego. Złośliwości bowiem reżimowego dziennikarza uświęciły nietykalnością „Dziennik Polski" i p. Mękarskiego.

Wygodna to argumentacja, ale „Dziennik Polski" myli się sądząc, że uda mu się ten szantaż moralny narzucić opinii emigracyjnej.

Krytyka na emigracji będzie istnieć — krytyka otwarta, głośna i bezwzględna. Musi ustać plotkowanie po kątach, a zamazywanie wszystkiego nazewnątrz pustymi frazesami, czy patetyczną demagogią. Jeżeli zaś przejawy tej krytyki znajdą się na łamach pism reżimowych, to możemy być tylko dumni z tego, bo będzie to dowodem istnienia samodzielnej i niezależnej myśli polskiej na emigracji. Natomiast dziennikarz warszawski nigdy nie będzie w stanie przytoczyć podobnych przejawów niezależności z łamów prasy krajowej zglajszaltowanej—z zakneblowanymi ustami. I dlatego też w tym wypadku, argumentacja „Dziennika" bliższa jest totalistycznemu agitacyjno propagandowemu myśleniu reżimowego monopolu prasowego w Polsce, niż ideowym założeniom emigracji. Usiłowanie zaś narzucenia emigracji bałwachwalstwa jakichś samozwańczych, bałamutnych autorytetów politycznych (do których „Dziennik" siebie zalicza) jest, z punktu widzenia celów ideowej emigracji, tendencją zdecydowanie niemoralną i szkodliwą.

To też przeliczą się bardzo obecni redaktorzy „Dziennika Polskiego," sądząc, że przerażonym sykaniem: *psst... bo reżim usłyszy*! uda im się zagłuszyć opinię publiczną.

Łączę wyrazy szacunku,
Jan Olechowski

Londyn, 23.II.1948 r.

Wiadomość dla Murnauczyków

Toczy się w Warszawie proces przeciw oberfeldweblowi Buchowi, podoficerowi niemieckiej komendy Oflagu VII A. w Murnau, za poniewieranie, bicie i kopanie polskich żołnierzy i oficerów. Jak pisze „Życie Warszawy" „zbrodniarza nie minie zasłużona kara."

Prenumerata miesięczna: 2 sh. 10 d., kwartalna: 8 sh. Ceny ogłoszeń: Tekstowe: 1 cal przez 1 łam — £ 2 sh. 10. Poszukiwanie osób i pracy: do 20 słów — 5 sh. 6 d. Za zamieszczanie dwukrotnie — 8 sh. za trzykrotnie — 10 sh. 6 d. Za każdych następnych 5 słów — 1 sh. zamieszczone dwukrotnie — 2 sh., trzykrotnie — 2 sh. 6 d. Różne: jedno słowo 9 d. Rękopisów nie zwraca się. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmian w artykułach — bez naruszenia myśli autora. Adres Redakcji: 21 Earls Court Square, LONDON, S.W.5., Tel.: FLA 1509. Adres Administracji: 12 Praed Mews, W 2, tel. PADdington 9734.
Redakcja przyjmuje tylko w poniedziałki i piątki — od godziny 11 do 12.

Published by Catholic Publishing Committee. Printed by M. Caplin and Co. Press Ltd., 15, Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey.